



DZIENNIK

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI-DĘBCZYŃSKI

POWSTAŃCA





26 lipca

Alarm. Drużyna moja zbiera się sekcjami: pierwsza u „Zoriana” na Złotej, druga („Gryfa”) u „Lisa” na Chmielnej. Rozkaz przewiduje zbiórkę z całym oporządzeniem i sprzętem. Powstanie ma wybuchnąć lada chwila; mówią, że dzisiejszej nocy. Słychać, że Rosjanie zajęli Mińsk Mazowiecki, podchodzą pod Otwock, a nawet podobno pod Miłosnę.

Przyszedł „Mors” (dowódca plutonu), obejrzał sekcję „Zoriana” i dał rozkaz pozostania przez całą noc. Nastręcza to duże trudności na obu lokalach, ale co począć w tej sytuacji – trzeba wytrzymać. U „Lisa” chłopcy śpią pokotem na podłodze. Niewiele lepiej u „Zoriana”.



Na ćwiczeniach wojskowych przed wybuchem powstania

27 lipca

Noc przeszła spokojnie. Jadę rano rowerem na odprawę. Nic specjalnego. Nastrój w mieście niezwykły. Szkopy ewakuują się. Większość urzędów pozamykana. W nocy słychać było działa z frontu. Odwiedzam sekcję „Gryfa”. Nastrój doskonały, chociaż wszyscy zmęczeni trochę nocą. Skarżą się na wyziewy z bimbrowni. Po południu „Jana” przynosi rozkaz, że chłopcy mogą się rozejść do lokali w granicach miasta. Zakaz wychodzenia z domu. Ja mam mieć codziennie odprawę.



Kilka dni później chłopcy zostali żołnierzami

28 lipca

Jadę na odprawę do Krzysztofa (Baczyński) na Hołówki. Są wszyscy drużynowi. „Mors” jak zwykle spóźnił się o pół godziny. Dyskutujemy sprawę smętnego stanu magazynu. Podobno magazyn nasz ma starczyć na całą kompanię. Czemu nam tego nie powiedziano wcześniej? Wszyscy klną bardzo. Postanawiamy dać „opeer” „Morsowi”.

„Mors” przyszedł i gędzi coś niewyraźnie. Mówi, że sam też nie wiedział i że się to jakoś zrobi. Ano zobaczymy. Mamy „robić” magazyn butów. Z mojej drużyny idę tylko ja. Odprawa bojowa wyznaczona na jutro, godz. ósma, na Bagnie. Wracam powoli do siebie. Ulice pełne ludzi, którzy stoją przed domami, gadają. Niemców nie widać.



Grupa harcerzy przy budynku na ulicy Żłotej 6

29 lipca

Jadę rano na tę odprawę bojową w sprawie butów. Są obecni: „Mors” (dowódca), „Szary”, Tadek „Piechocki”, „Jur”, jeden strzelec z drużyny „Jura” i ja. Lokal, gdzie jesteśmy, ma okna wychodzące na ulicę, akurat po przeciwnej stronie magazynu. Widać dokładnie cały budynek. Nie wiem, czy to bardzo mądre. Obgadyjemy dokładnie całą akcję. Dostajemy broń. Przychodzi wiadomość, że samochodu nie będzie. Zresztą jest już za późno, by wykombinować coś nowego. Akcja odwołana na jutro o tej samej porze. Broń zatrzymujemy. Jadę do siebie na Sadybę. Po południu wpada Zbyszek Romaniszyn („Zorian”) na rowerze. Alarm. Drużyna już się zbiera w tych samych lokalach. Idę się pożegnać do cici Janki. „Zorian” czeka przed willą. W domu cici zobaczono przypadkiem u mnie broń pod marynarką i robi się rozczulająca scena pt. „wyjazd na wojnę”. Wreszcie wyrывam się, siadam na rower i odjeżdżamy galopem, żegnani machaniem chusteczek i załzawionymi obliczami w oknach.

Po przyjeździe na lokal przy ulicy Złotej zastaję już sekcję I w bardzo bojowym nastroju. Meldunek: sekcja II zebrała się. „Zorian” melduje, że można będzie wykorzystać lokal przy rogu Marszałkowskiej i Chmielnej. Jutro przeniosę tam

sekcję „Gryfa”. Przychodzi „Mors”. Rozmawiamy o sprzęcie i o terminie akcji. Zachodzi potrzeba przyniesienia kilkuset opatrunków, jakie zostały jeszcze w moim mieszkaniu na Sadybie. Ponieważ nie mogę opuścić drużyny, posyłam „Kruka” (Wacek Przypkowski) na rowerze z kartką do cioci o klucz.

30 lipca

Rano leje jak z cebra. Pożyczam nieprzemakalny płaszcz i pędzę rowerem na Bagno. Dziś odprawa wyznaczona jest na siódmą trzydzieści, byśmy mogli być na miejscu punktualnie o ósmej. Złążą się wszyscy. Sprawa była obgadana dokładnie wczoraj, więc możemy ruszać. Wychodzimy pojedynczo, by za rogiem zawrócić z powrotem w stronę warsztatów. Trzeba przejść przez bramę, potem przez podwórko i w oficynie mieszczą się zakłady.

„Mors” idzie pierwszy, za nim „Piechocki” i ja. „Jur” ze swoim człowiekiem zostają w bramie i na ulicy na obstawie. „Szary” już przedtem poszedł sprowadzić platformę. Czekamy z „Piechockim” tuż przy wejściu. „Mors” puka. Otwierają mu bez przeszkody; jest to pora, kiedy pracownicy przychodzą do roboty. „Mors” wchodzi. Usiłują zamknąć drzwi za nim, ale podstawiam nogę i jesteśmy w środku. Widzę „Morsa” z wydobytą „czterdziestką”*, mówiącego: „Hände hoch!”. Wydobywamy broń. Pierwsza sprawa to telefon. To moje zadanie. Telefon stoi w kantorze na biurku. Podchodzę i jednym szarpnięciem odrywam słuchawkę. Koledzy tymczasem

* MP40 – niemiecki pistolet maszynowy.

rewidują zatrzymanych w pierwszym pokoju ludzi. Następnie idziemy od pokoju do pokoju wzdłuż budynku i zapędzamy wszystkich spotkanych do jednego pokoiku. Jest tam całkiem ciasno. „Mors” pilnuje ich. Moje zadanie teraz to warta przy drzwiach wejściowych. Wpuściłem zaraz Tadka, który przyniósł wielkie papierowe worki do pakowania butów. Czuwam przy drzwiach. Każdego pukającego wpuszczam i zamknąwszy drzwi, rewiduję pod bronią, a następnie odprowadzam do pokoiku, w którym po przybyciu kilkunastu gości zrobiło się tłoczno. Spodziewanych ilości butów jednak nie ma, a żadne groźby co do wydania ukrytych nie skutkują. Najdokładniejsza rewizja lokalu nic nie pomaga i koledzy pakują do kilku worków te kilkadziesiąt par, które znaleźliśmy po szafach. Nadjeżdża platforma. Jest na niej dwu woźniców i „Szary”. Wóz jest po prostu wynajęty na sąsiednim placu Grzybowski. Widząc wyładowujące się worki, woźnice musieli się w czymś połapać, bo widzę, że „Szary” pochyla się do nich i coś im tłumaczy, trzymając znacząco rękę w kieszeni. Załadowanie jest wkrótce skończone. Ruszamy. Ja idę w eskorcie wozu nieco z tyłu, „Sławek” z przodu. Reszta zostaje, by przypilnować zatrzymanych. Na placu Grzybowski „Szary” wysiada i idzie z woźnicami do knajpy czekać na zwrot wozu, „Tadek” bierze lejce i tak zajeżdżamy na plac Teatralny. „Sławek” idący z przodu zawiadamia ciecica, brama się otwiera i wjeżdżamy w podwórze. Padający bez przerwy deszcz rozmoczył trochę papierowe worki, toteż gdy w pośpiechu przenosimy ładunek do pokoiku na tyłach sklepu będącego naszą meliną, worek niesiony przeze mnie pękł, wysypując swą zawartość na podwórze. Na szczęście niewiele osób to widziało

i wszystko zostaje szybko pozbierane i złożone w magazynie. Platforma odjeżdża. Czekam pół godziny na placu Żelaznej Bramy na oddanie broni, ale nikt nie przychodzi. Idę na miejsce spotkania z „Sambą”, biorę od niego rower zostawiony na Bagnie i jadę do chłopaków na Złotą. Sekcja „Gryfa” (Romek Wojtowski) przeniosła się już do lokalu. Jest to niezbyt duża restauracja, z powodu obecnej przedpowstaniowej gorączki zamknięta od frontu. Szczególnie wygodna jest duża kuchnia, położona pod lokalem w suterenie. Jest ona bogato wyposażona w żywność, więc głodu nie będzie.

Jadę na Hołówki na odprawę. Nic specjalnego. Codzienne te odprawy są właściwie na wypadek, gdyby coś zaszło. Wracając, jadę na Leszczyńską pożegnać się z babcią, ciocią Zosią i Marysią. Spotkałem je siedzące w tramwaju przy „ekspedycji” na Solcu. Jadą one na Sadybę do cioci Janki. Może tam jest bezpieczniej. Pożegnania.

31 lipca

Już z samego rana przychodzi „Jana” z rozkazami i paczką. W paczce jest trochę części mundurów niemieckich, skarpetki itp. Wszystko nowe, nasi musieli gdzieś zdobyć dobry magazyn. Rozkaz mówi o przygotowaniu pięćdziesięciu sztuk butelek zapalających. Rozsyłam chłopców na miasto. Idą skupywać benzynę. Kwas siarkowy i chloran potasu mamy na szczęście z dawnych zapasów. „Zorian” przynosi z lokalu butelki, „Kruk” trochę lakieru, pozostałego u niego z czasów „małego sabotażu”, „Walgierz” tłucze w móżdżerzu cukier. Fabryka idzie na całego.

Rozkaz mówi dalej, że mam się zgłosić na odprawę w jakimś nowym lokalu przy Grzybowskiej. Numer zaszyfrowany, ale źle, jak się wkrótce okazuje. Idę na Grzybowską. Na mieście ruch ogromny. Pełno ludzi z daleka już wyglądających na konspiratorów. Na szczęście patroli nie widać. Od czasu do czasu przejedzie tylko czołg „Tygrys”, na którego wieżyczce stoi cekaem gotowy do strzału. Aleją Sikorskiego ciągną wycofujące się oddziały niemieckie, głównie tabory i kałmucy. Wyglądają bardzo smętnie. Podobno rosyjska czołówka pancerna dotarła do Międzyzylesia. Widać pełno uciekających volksdeutschów z wozami pełnymi gratów. Wiszą czerwone

plakaty o stawieniu się do pracy przy fortyfikowaniu miasta 100 tysięcy ludzi.

Znalazłem dom i mieszkanie. Pukam. Otwiera mi jakaś kobieta w średnim wieku. Wymieniam hasło. Niewiasta robi zdziwioną minę, zaprasza mnie do środka i pyta się, co sobie życzę. Sytuacja bardzo głupia. Tłumaczę się, jak mogę, wreszcie słyszę:

– Ja to z konspiracją nie mam nic wspólnego, ale jak pan chce wiedzieć, gdzie chodzą wszyscy młodzi ludzie z paczkami, to idź pan przez podwórko, w sieni na lewo.

Posłuchawszy tej rady i klnąc wspaniałą konspirację, udaję się pod wskazany adres i rzeczywiście znajduję całe towarzystwo w komplecie. „Mors” twierdzi, że powstanie wybuchnie jeszcze dzisiejszej nocy. Wszyscy mają być gotowi, resztę broni wyda się przy zaczęciu. Na razie mają dostarczyć na lokal 4 kg plastyku, z którego mamy zrobić trzy miny szturmowe. Dostaję jeszcze po parę „górali”^{*} na wyżywienie, po 1000 zł dziennie na drużynę. Nastrój bardzo podniecony. Wracając, kupiłem chłopakom kilkanaście kilo owoców.

Wróciwszy do lokalu, zastałem chłopców w komplecie, wszystko spakowane, broń wyczyszczoną. Plastyk już przyniesiono: był trochę za twardy, a że mina szturmowa musi być miękka i lepka, przeto wyrabia się go na stolnicy z odrobiną wazeliny. Butelki już stoją w pięknym rzędzie, gotowe do zabrania. Cały wieczór siedzimy wygodnie w kuchni przy wielkim stole, popijając piwo, którego jest tu dostatek, i zagryzając dobrymi rzeczami. Na noc ułożyliśmy się na górze,

* Banknot pięciusetzłotowy w czasie okupacji.

na zsuniętych razem stolikach restauracyjnych. W ciszy nocy słyhać dudnienie artylerii radzieckiej, przeszedł nalot. Jako że jest pogotowie bojowe, wolno zdjąć tylko buty. Chłopcy długo przewracają się z boku na bok, obgadując bez końca przyszłe akcje. Ze względu na konieczność wypoczynku nakazują w końcu ciszę.

1 sierpnia

Już od rana czuć coś w powietrzu. Wpada „Mors” sprawdzić jeszcze raz, czy wszystko w porządku. Trzymam chłopców na dwóch lokalach, większość w lokalu przy Chmielnej. Część sekcji „Zoriana” przebywa u niego na Złotej 14/16. Nawet „Butrym”, mieszkający akurat naprzeciwko, siedzi cały czas w domu. Wychodzimy ze Zbyszkiem („Zorianem”) zobaczyć, co słyhać, i dostać coś do zjedzenia. Wszędzie widać całe masy konspiratorów. Konspirację czuć na kilometr z daleka po wojskowych butach i kurtkach. Ciągną jakieś pakunki, śpieszą na „koncentrację”. Marszałkowską przejechał wolno patrolujący czołg. Telefony nie działają. Urzędy zamknięte. Kupujemy trochę bułek i owoców. Płacimy „góralami”, biorąc resztę w towarze. Inaczej już nikt nie przyjmuje. Wracamy na Złotą. Zastaję pisemny rozkaz. Mam zgrupować całą drużynę w jednym lokalu (u „Zoriana”), gdyż z chwilą wybuchu powstania może zostać przecięta ul. Marszałkowska. Poza tym mam się zgłosić o godzinie 4 na ul. Focha w celu pobrania butów dla drużyny. Przychodzą chłopcy z lokalu z gratami, robi się niemożliwy tłok. Paru potrzebujących nowych butów mierzy „kopyta”.

O godzinie za piętnaście czwarta biorę torbę na buty, wsuwam na wszelki wypadek „maszynę” za pasek, siadam

na rower i jadę. Przy rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej widać jakieś zbiegowisko. Ludzie kłębią się dokoła kogoś w środku. Migają wielkie płachty papieru. Podjeżdżam bliżej i rozpoznaję tak dobrze znane, nierozcięte jeszcze numery ostatniego „Biuletynu Informacyjnego”. Sprzedawane są po 10 zł. Tego jeszcze nie było. Zahamowałem nagle, by zaopatrzyć się w jeden na pamiątkę. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że nie mam czasu, i ruszam dalej.

Lokal na Focha jest tuż koło placu Teatralnego. Jest to mały sklepik z wózkami dzieciennymi. Mieściła się tu nasza konspiracyjna „skrzynka”. Teraz sklep jest zamknięty, ale gdy wpuszczają mnie do środka, widzę całe towarzystwo w komplecie: Krzysztof (Baczyński), który jest zastępcą dowódcy plutonu, „Piechocki” i „Gram” – drużynowi, oraz „Sławek” (Witold Sławski) z mojej drużyny, pełniący obowiązki gospodarza w zastępstwie swego wuja, który o naszym pobycie tu nic nie wie i nie powinien wiedzieć. Brakuje tylko „Morsa”, który spóźnia się jak zawsze. Godzina czwarta trzydzieści. Zniecierpliwieni jesteśmy ostatecznie i mamy zamiar rozejść się. Od strony ulicy Miodowej rozległo się parę strzałów. Granat – jeden, drugi, długa seria karabinu maszynowego. Trzeba poczekać – mówi „Sławek”.

Cofnęliśmy się od wyjścia. Serie broni maszynowej, wybuchy granatów i pojedyncze strzały nie ustają ani na chwilę. Jakaś duża akcja musi to być. Musieli ich Niemcy otoczyć w domu, więc bronią się – zauważa „Gram”.

– Słuchajcie, słuchajcie! – krzyknął ktoś od drzwi. – To chyba powstanie!

Od strony placu Napoleona niosą się odgłosy nowej strzelaniny.

– Nie róbcie krzyku. Przecie nas nie zawiadomiono – mówi Krzysztof. – A zresztą pozostaje nam tylko czekać na rozwój wypadków – dodaje po chwili.

Siadamy w głębi sklepu. Przed nami za cienką szybą okna i drzwi – ulica. Zaraz też, jak na scenie, zaczynają się dziać tam dziwne rzeczy. Ulica zupełnie opustoszała z chwilą pierwszych strzałów. Potem zaczynają się przesuwać ludzie, przeważnie kobiety. Wszyscy mają ręce podniesione do góry i trzymają chusteczki. Wygląda to bardzo dziwnie. Ostatni z nas przestał mieć wątpliwości, że powstanie rzeczywiście wybuchło. Przebiegł patrol SA w hełmach i kompletnym bojowym rynsztunku. Za chwilę przechodzą dwaj tacy sami SA-mani z karabinami w ręku. Rozglądają się bacznie po domach dokoła. Nagle megafon z latarni na placu chrząknął i zaczął:

„Tu komendant wojskowy miasta Warszawy. Ogłaszam natychmiast stan wojenny dla całego miasta. Nikomu nie wolno opuszczać domów. Domy, z których się będzie strzelało do Niemców, będą zrównane z ziemią, a ich mieszkańcy rozstrzelani”.

Dalej to samo po niemiecku z dodatkiem, że wszyscy Niemcy i volksdeutsche mają się zgłosić na posterunki wojskowe. Tak będzie to trwało do późnej nocy w odstępach półgodzinnych. Widać nie zdobyto jeszcze centrali megafonów.

Zapada zmrok. Niebo zaczerwieniło się łunami jakichś pożarów. Strzelanina wzmaga się z każdą chwilą. Zakładamy radę wojenną. Jasne jest, że w tym sklepie nie możemy długo

siedzieć. Wszyscy przeklinają przypadek, który sprawił, że musimy siedzieć tu w tej dziurze. Myślę o moich chłopcach, o tym, od jak dawna szykowaliśmy się razem na tę chwilę, a teraz jesteśmy rozdzieleni. Wiem, że „Zorian” poprowadzi wszystko dobrze, ale zawsze lepiej byłoby być razem. Stawiam projekt, by zaczekać, aż się zupełnie ściemni, a następnie, wyszedłszy przez frontowe drzwi możliwie po cichu, w skarpetkach, starać się o dotarcie na teren obsadzony przez nasze oddziały. Niestety nikt nie orientuje się, gdzie należy szukać naszych. Strzelanina dochodzi ze wszystkich stron, ale możemy równie dobrze trafić na Niemców. Jesteśmy zaś prawie bezbronni. I z tego powodu projekt upada.

Krzysztof uważa, że najlepszym wyjściem z sytuacji jest zaczekać, aż jakiś inny oddział będzie w pobliżu, przyłączyć się do niego, a następnie starać się dostać do naszych. Krzysztof jest najstarszy stopniem i funkcją, więc jest naszym naturalnym dowódcą. „Sławek” wychodzi tylnym wyjściem na podwórze zobaczyć, co słychać w kamienicy. Ułożyliśmy się rzędem za ladą na starych gazetach i czekamy. „Sławek” wraca, ale słyszymy, że nie jest sam. Domyślamy się, że to jest jego wujek, właściciel sklepu. Na całe szczęście w lokalu jest zupełnie ciemno; w samą porę podkulamy nogi. Wujcio potknął się o czyjąś nogę.

– Ależ tu ciemno, zapalę zapałkę.

– Oj, lepiej nie, jeszcze zobaczą światło z zewnątrz – zorientował się w porę „Sławek”.

– Tak, tak, trzeba być bardzo ostrożnym.

Widzimy, że wujaszek jest tchórzem podszyty. Sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, i wyszli. Za chwilę „Sławek”

wraca sam. Opowiada, że w całej kamienicy panuje bardzo tchórzliwy nastrój. Wszyscy lokatorzy siedzą w piwnicy i trzęsą się ze strachu. Megafon przed domem zrobił swoje. Nie ma mowy, żeby udzielili nam schronienia. „Sławek” radzi, żeby dwóch z nas wyszło, a on nas przedstawi jako swoich kolegów, którzy zostali odcięci od domu przez wybuch powstania. Krzysztof wyznacza mnie i „Grama”. W wujcia, gdy nas zobaczył, jakby piorun strzelił. Nie przejmując się nami, zaczyna jęczeć:

– Aj, ty mi zawsze kłopotu narobisz. Tacy młodzi ludzie! Niemcy gotowi pomyśleć, że to są ci... ci...

„Sławek” zrobił niewinną minę.

– Tak mi bardzo przykro. Nie możemy ich przecież wyrzucić teraz. To tacy porządni, spokojni chłopcy.

– No, weź ich na górę i daj im co zjeść – mruknął w końcu wujcio i dał nura do schronu.

W mieszkaniu wujcia na drugim piętrze „Sławek” ugaszcza nas, jak może. Mam zawsze wielki apetyt w takich krytycznych chwilach, zupełnie inaczej niż inni. „Sławek” zanosí pół bochenka chleba kolegom na dole, my tymczasem podziwiamy widok z okna w stronę Wisły. Wszędzie widać łuny ogromnych pożarów. Strzelają rakiety. Od mostu idą w górę kolorowe sznury pocisków z działek przeciwlotniczych. Prawie nie można zmrużyć oka tej nocy. Tam toczy się dawno upragniona walka, a my musimy tu siedzieć i nic nie robić.

„Większa część tej książki to pamiętnik, który pisałem w parę miesięcy po powstaniu i ukończyłem wkrótce po wojnie. Nie był on pisany z myślą o publikacji. Ot, po prostu wrażenia siedemnastoletniego powstańca, spisane bez specjalnego celu i zbyt szczerze, jak sądziłem wtedy, by dzielić się nimi z kimkolwiek”, pisał Autor *Dziennika*.

Przez wiele lat *Dziennik powstańca* nie mógł ukazać się w Polsce. Jego edycja w 1969 roku w Wydawnictwie Literackim stała się wydarzeniem o charakterze literackim i politycznym. Zbigniew Herbert pisał w liście do Autora i Jego żony Magdaleny Czajkowskiej (później autorki książki *Herbert i „Kochane zwierzątka”*): „Jest już dawno w Polsce wyczerpana i w ogóle sprzedawali ją spod lady” (list z 6 września 1969 roku).

Doskonale napisana, przejmująca, pełna emocji, ale i refleksji relacja naocznego świadka, uzupełniona między innymi materiałami z archiwum Autora, porusza współczesnych czytelników w Polsce i za granicą (w 2012 roku książka została wydana w Londynie, w tłumaczeniu na język angielski Marka Czajkowskiego, syna Autora).



PATRONAT MEDIALNY



BOOKLIPS.PL IIIII

www.marginesy.com.pl



cena 34,90 zł